

# odgłosy



Nr 34 (338)  
23. VIII. 1964 R.  
10 stron  
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

**W numerze: Pięć dni w Wysokiej Sierra • Leć, piosenko, w świat! • Notatki leniwego turysty • Listy, naszych milusińskich • Podróże do rajów • Śladami dawnej Łodzi • Wiersze, felietony, recenzje • Nowelka kryminalna**



„ZJAWY”

Foto: Adam Idziński



Niech się nikt nie zdziwi, jeżeli pewnego dnia kilkunastu młodych ludzi, w ciemnych garniturach, prosto od fryzjera, pachnących wodą kolońską, czysciutkich i wykwintnych — wkroczy do najelegantszej restauracji w Łodzi. Jeżeli ci młodzi i wykwintni panowie zamówią indyka z borówkami — będziecie wiedzieli: to właśnie oni, to właśnie OHP z Pabianickiej!

**OHP — Ochotniczy Hufiec Pracy.** Powstał z inicjatywy Okręgowego Komitetu Studenckiego ZMS. Dostali w „pacht” rozbiorke domu przy Pabianickiej 1. Parę tygodni ciężkiej, naprawdę ciężkiej pracy — robotnicy MZBM przecież nie chcieli się podjąć. Nie tam żadne osiem ustawowych godzin — czasem i dwanaście się zdarzy. Ale w efekcie: po pierwsze — dom ku uldze ZBM rozebrany, po drugie — OKS dostanie trochę pieniędzy, po trzecie — oni sami zarobią porządnie, na resztę wakacji starczy. Rozumiecie teraz, skąd ten indyk?

I, kiedy oni tak o tym indyku, a ja z cegły na cegłę

skaczę i tylko patrzę żeby mi jaka deska na głowę nie poleciała — przypomniała mi się taka scenka sprzed parunastu lat. W naszej szkole zorganizowano wtedy tzw. „subotniki”. Chodziło o to, żeby młodzież raz w tygodniu w sobotę po południu, popracowała fizycznie kilka godzin.

Przystąpiliśmy do tych prac z wielką ochotą — bo to i młodość, i świeże powietrze i coś nowego w życiu szkolnym... Zaprowadzono nas do parku Poniatowskiego. Ale — tam okazało się zaraz, że nikomu nie jesteśmy potrzebni. Nie było dla nas żadnej pracy, nic. Co robić? Zdezorientowani nauczyciele odszkalili jakiegoś starego dozorcę, dozorca podrapał się w głowę, i — wymyślił! — Niech obrywają listeczki z drzew, powiada. — Niedługo jesień, drzewa sporo się namęczą nim listeczki opadną, a tu patrzcie — młodzież im pomoże!

I spędziłam owo sobotnie, wrześnie popołudnie na „pomaganiu drzewom”, na obrywaniu listeczków w parku Poniatowskiego...

Historia to autentyczna, ale, oczywiście, dziś tylko rozmnieścić może. Dawno zrozumieliśmy, że nie chodzi o mit „pracy dla pracy” ale o jej efekt. Niemniej, wcale sędzić nie należy, że sprawa różnego typu prac społecznych oraz prac użytecznych — szczególnie wśród studentów — została już prawidłowo rozwiązana.

O pracy społecznej akademików innym razem, rozległy to temat i wart szerszej analizy.

Dzisiaj zajmijmy się pracami zarobkowo-użytecznymi, przeprowadzanymi w ramach Ochotniczych Hufców Pracy. Co roku, na korytarzach wyższych uczelni pojawiają się plakaty agitujące za wyjazdem w Koszalińskie. Wiadomo: w Koszalińskim brakuje rąk do pracy, w Koszalińskim czeka żywność. Ale zaraz na wstępie niespodzianka: zgłosiło się w tym roku 800 kandydatów, a tu nagle „zmniejszono limity”. Już Koszalińskie studentów nie potrzebuje. Jest praca tylko dla 650 osób. PGR Pięknów chciało na przykład zatrudnić dwa turnusy po 40 osób — tymczasem list dyrektora PGR przysła, że dziekuje bardzo, że nie potrzeba...

W Łodzi studiuje ponad 10 tysięcy akademików. Na hufce żywność wyjedzie 650 osób, nie jest to akcja zbyt rozległa.

Nie mają do niej wielkiego zaufania studenci — nie mają i koszalińskie pegeery.

Studenci nie palą się do wyjazdu, bo:

Niejednokrotnie się zdarza, że grupa przyjeżdża a nikt nie o nich nie wie, nikt ich nie oczekuje. W ub. roku boje całe trzeba było stoczyć,

Dalszy ciąg na str. 6

## ROMAN ŁOBODA DOMKI CAMPINGOWE CZYLI REPORTAŻ NIE CAŁKIEM Z PAMIĘCI

Najciężiej zacząć. Szczególnie, gdy się upały. Ale już jedziesz samochodem słuźbowym, prawie roztopiasz się, a swój obowiązek pamiętasz — od stóp do głów zmobilizowany. Zwir pryska spod kół, a później po asfalcie suną po gumie przez swojską okolicę. Z lewa domy, z prawa snopki postawiane w kształt spódnicy w tańcu, a mimo to powiew smętku od tych kłósów odciętych od ziemi, już prawie rzuconych pod wirujący młyński kamień.

Trochę deszczu, trochę wody, trochę zimnego strumienia przez gardziel, przelyk do jelit — przez całe ciało.

Obolałe horyzonty w lesie, w cieniu — brak perspektywy, tylko tabliczki przydrożne. Natolin, Brzeziny, Rogów i stacja przekąsnikowa telewizji łódzkiej, niby kamienna oaza, która przenosi obrazy, obrazy, obrazy...

Tak przydałby się papier impregnowany, jest coś dzisiaj w człowieku z tej nietrwałości rzeczy roztopliwych zmieniających kształt, zamazujących się na krańcach pod słońcem, które jest wskazówką czasu.

I może ten smętek żniw w pełnej czerwieni lata, zwieszony głowy kłósów i pot spływający z czoła, sprawiły, że ostry zapach nawozu unoszący się z gumien zawiercił ci w nosie, zakreślił szyderczo i kichnąłeś raz jeden i drugi i nawet trzeci, jadąc przez pełny i dojrzawy rozkwit upału.

Urwała się taśma. Taka gumowa pętla bez początku i końca (nie można dojrzeć

spojenia), która jest transmisją w chłodniczym urządzeniu motoru w samochodzie. Obywatel kierowca zarządził postój. — Gdybyśmy dalej jechali, to woda by się zagotowała — powiedział. Uznaliśmy ten fakt (zagotowania się wody) za zjawisko fizyczne wysoce nieciekawe w aktualnych warunkach atmosferycznych i wysiedliśmy z „Warszawy”. Wówczas stała się rzecz straszna: obejrzałem się raz i drugi w lewo i w prawo a także i w tył; a tu miasteczko, przez miasteczko rzeczka, przez rzeczke mostek. Na mostku stanąłem! Patrzę na domy i komórki, patrzę na stację benzynową, (taśma szczęśliwie (?) urwała się obok stacji) przed stacją auta, w rzeczce dzieci łowią rybki. Patrzę i strach mnie ogarnął tak straszny, że aż prawie pot zagotował się na mnie, bo zdałem sobie nagle sprawę z tego, że nie wiem po co tu przyjechałem, ba, po co w ogóle jadę. Gorączkowo zacząłem przetrzącać rozpalone cegiełki pamięci, na stosik odsypywać bezużyteczne, aż chmura pyłu (czy słońca) przestroniła mi zatawione oczy.

Wreszcie odetchnąłem z ulgą. Wreszcie wygrzebałem: jadę na reportaż do Nowego Miasta. Wreszcie przypomniałem sobie: domki campingowe nad Pilicą. Dla lekarzy. — Ktoś mówił — służba zdrowia wyzwolona. Służba zdrowia zbratana z tym, co natura zwiemy, nie myśląc wówczas o człowieku, a już w żadnym wypadku o człowieku chorym.

Tak to więc było. Tak jest w istocie że prawie widzisz uśmiechnięte twarze, wyzwolone, jakby odpadł z nich gips wiecznej troski o zdrowie chorego, powaga płynąca z odpowiedzialności za życie pacjenta już nie ścina ust w surowa pieczęć; człoło gładkie i opalone, bez jednej chmurki, że prawie już czujesz rozluźnione mięśnie chirurgów i ginekologów, pediatrów i dermatologów, na szorstkich drzewcach wiosel.

Podróż w słoneczną krajinę ludzi wyzwolonych z surowego, a jakże czulego gestu nad cierpiącym dzieckiem, kobietą, mężczyzną. Wyzwolonych, a jednak za-

Dalszy ciąg na str. 6

## KRYSTYNA WYRZYKOWSKA

# SIWKCESY? OWSZEM ALE...

Do dyrektorów trzech łódzkich central handlu zagranicznego: CETEBE, CONFEXIM i SKORIMPEX — reprezentujących wyroby polskiego przemysłu lekkiego na rynkach światowych — zwróciliśmy się z jednym, i tym samym pytaniem: — Jakie niedociągnięcia ze strony producentów sprawiają handlowi zagranicznemu najwięcej kłopotów oraz co należałoby usprawnić dla zwiększenia eksportu wspomnianych towarów, polepszenia jego struktury i opłacalności?

MÓWI DYR. NACZ. CETEBE — ZYGMUNT STARZEŃSKI

— Przysłowie twierdzi, że nie ma tego dobrego co nie mogłoby być jeszcze lepsze. Tym wstępem nie chcę bynajmniej sugerować, że tkaniny, które są przedmiotem

naszych transakcji, wszystkie bez wyjątku, zasługują na najwyższą notę. Pragnę tylko zaznaczyć, że w produkcji tych towarów zaszła w okresie ubiegłych dwóch lat

Dalszy ciąg na str. 3

Wszędzie tam, gdzie maczają swe palce mocarstwa imperialistyczne, nie wygasają potencjalne ogniska niepokoju. Te znane prawde potwierdzają ostatnie wydarzenia w Wietnamie, na Cyprze i w Kongo. Żaden z tych krajów od dłuższego czasu nie schodzi z politycznego porządku dnia, ostatnio jednak były szczególne powody, by prasa światowa eksponowała napływające wiadomości na czołowych stronach. A to, że temperatura wydarzeń raz wzrosła, raz opadła — wskazuje dobitnie, że są to organizmy chore.

Co jednak nastąpiło w ostatnim okresie, co tak powszechnie przykuło uwagę do tych krajów?

Najbardziej można by powiedzieć: wzrost napięcia, spowodowany

■ w Wietnamie — incydentem w Zatoce Tonkińskiej i zapowiedzią „zdecydowanych posunięć” ze strony USA

■ na Cyprze — atakiem tureckich wojsk lotniczych

■ w Kongo — rozwojem akcji powstańczej przeciwko Czombemu, premierowi, z którego „śmieje się cała Afryka”.

# odgłosy W świecie

tym kraju. Innymi słowy: rozgrysz i bałagan do potęgi. Przeciwdziałając tym zjawiskom, trzymając się kurczowo militarnej rozwiązania politycznego problemu Wietnamu — oczywiście niełatwo. Raz po raz więc Stany Zjednoczone, od dziesięciu lat stawiające na politykę siły, potykają się o Wietnam i to coraz dotkliwiej. Brną jednak przed taką polityką syple się

go prowadzi ta fałszywa polityka, jak coraz dalej St. Zjednoczone odbiegają od postanowień genewskich.

„Zdecydowanie”, które oka za Johnson, kierując się dwo ma powyżej omówionymi powodami, nie zjednało mu sławy nie tylko wśród narodów świata, którym raz jeszcze obnażyło amerykański system polityczny, ale i wśród sojuszników. W. Brytania wyraziła desinteresment, a Francja wręcz potępiła to działanie. Również z innych krajów docierają głosy niezadowolenia. Czy więc „skórka warta była wyprawki”? Może nad tym zastanawia się właśnie prez. Johnson...

Omówiliśmy tu tylko jeden z trzech aktualnie zapalnych punktów. Niemniej niepokój budzić może i konflikt cypryjski i sytuacja w Kongo. Szczególnie problem cypryjski. Czy wezwanie Rady Bezpieczeństwa do położenia kresu wszelkim lotom nad Cyprzem i ożywiona działalność dyplomatyczna w Atenach, Ankarze i Paryżu przyniosą osłabienie napięcia na wyspie — trudno dziś przewidzieć. Jeśli nawet chwilowo uda się obniżyć temperaturę — będzie to jednak tylko przystawiony plasterk na ranę. Bardziej trwałych rozwiązań trzeba szukać sięgając do korzeni problemu — respektując niepodległość Cypru.

W. SŁAWSKI

## NIEMIEKOJE

Żadne z tych wydarzeń nie zaskakuje uważnego obserwatora rozwoju sytuacji między narodowej. W przewlekłych schorzeniach, by znów posłużyć się terminologią lekarską — o ataki choroby nie trudno. Może tylko — zastanawiać, dlaczego właśnie teraz administracja Johnsona uznała za słuszne podjęcie bezpośredniej akcji przeciwko Wietnamskiej Republice Demokratycznej? Czyżby pozostawało to w bezspornym związku z listopadowymi wyborami?

Odpowiedź na to pytanie musi być twierdząca. Jednym z dwóch zasadniczych powodów jest niewątpliwie chęć zademonstrowania polityki siły w Wietnamie, co ma być — w przekonaniu Johnsona — atutem w walce z republikanami.

I nieprzypadkowo Goldwater przerwał milczenie, trwające od „koronacyjnego zjazdu” w San Francisco, właśnie obecnie chwalać Johnsona za jego zdecydowanie. Wprawdzie senator z Arizony nie może zadowolić „tylko jeden epizod”, chciałby „całej strategii zwycięstwa”, ale „mocne uderzenie” obecnej administracji amerykańskiej — to już coś w jego guście. Prawica zaciera więc z zadowoleniem ręce.

Cel wewnętrzny, to obawa przed oskarżeniem o kapitulancję — to jeden z powodów, a drugi? Zapewne chodzi o zahamowanie gwałtownie pogarszającej się sytuacji w Wietnamie Płd., o próbę podtrzymania reżimu Khanha, który uwikłany w różne tarapaty, ledwo egzystuje. Jakże znamienne dla tego, co dzieje się na południu Wietnamu jest wypowiedź komentatora „New York Herald Tribune” który doliczył się poza wojną domową co najmniej 10 innych wojen, toczących się w

świecie i dalej, choć przestróg coraz więcej.

Po de Gaulle'u, o czym pisaliśmy w jednym z poprzednich komentarzy, z ostrzeżeniem wystąpił ostatnio demokratyczny senator Wayne Morse:

„Od pewnego czasu — stwierdził on — prowadzimy zamaskowaną wojnę w Azji południowo-wschodniej zamiast szukać pokoju. Było rzeczą nieuchronną i nieuniknioną, że prędzej czy później będziemy musieli realizując tę politykę, zaangażować się w jawnych aktach wojny...”

Ostatnie wydarzenia w Wietnamie unocznily do czego



Co robią Amerykanie w Wietnamie?

## POLONICA

### LÓDŹ W OCZACH CUDZOZIEMCÓW

Miesięcznik „Inostrannaja Literatura” drukuje artykuł o Łodzi literackiej pod wymownym tytułem „Głos młodego pokolenia”. Ze względu na żywo obchodzącą nas sprawę poruszona w tej publikacji przytaczamy ją w obszernym fragmencie. „Robotnicza Łódź” znana jest z dawniejszych tradycji literackich. Żył tam i tworzył znakomity polski poeta i tłumacz Julian Tuwim. Ożywione życie literackie miała też Łódź w XX-leciu międzywojennym.

W ostatnich latach wyrosło w Łodzi nowe pokolenie literackie. Aktualnie większość debiutantów zgrupowa-

ła się wokół Klubu Młodych Pisarzy zorganizowanego przez Związek Młodzieży Wiejskiej. Podobne kluby istnieją w całym kraju, ale według opinii recenzenta „Twórczość” Barbary Bieńczyckiej, klub łódzki należy bezspornie do rzędu najciekawszych. Poezja zajmuje poczesne miejsce w działalności klubu. Odbývają się w nim wieczory autorskie, dyskusje, seminaria z historii i teorii literatury, konkursy poetyckie. Młodzi pisarze mają pełne możliwości samokształcenia: dostęp do książek i czasopism; są też konsultowani przez doświadczonych pisarzy.

Liczne poetyckie konkursy wyjawily nazwiska najlepszych. Są to Bernard

Sztajnert i Jerzy Waleńczyk, Ewa Dąbrowska, Józef Wiśniewski i Zbigniew Kosiński, Konrad Frejdllich i Jerzy Wilmański oraz inni; pracownicy umysłowi, robotnicy, chłopcy i kształcący się młodzież. Wszystkim im bliskie jest życie współczesne, wszyscy pragną, aby przyszłość nie została przesłonięta chmurami wojny.

Szeroka działalność rozwinęła Wydawnictwo Łódzkie. Co roku w serii „Biblioteka poetów” wychodzą liczne pozycje debiutantów nie licząc tomów indywidualnych, ale także dzieł znanych autorów. Wydawnictwo organizuje też konkursy literackie. Już od pięciu lat wydaje rocznik „Rzecz poetycka” — jedyną publikację tego rodzaju w Polsce.

Młodym pisarzom stworzo no więc szerokie możliwości publikowania tekstów. Aktualnie Wydawnictwo Łódzkie przygotowuje do druku kilka tomików młodych autorów.

Jak więc widać zaintereso-

wanie literatura polską w Związku Radzieckim nie maleje.

### FILMOWE PERTRAKTACJE

Prasa zachodniemiecka zwraca uwagę, że polskie filmy nie docierają na ekrany kin Republik Federalnej. I tak widz zach.-niemiecki nie miał okazji obejrzeć ostatnich filmów Hasa, Różewicza, Kutza.

Na tym większą uwagę zasługują więc plany polskiej filmowej kooperacji z NRF. Ta sama prasa donosi o pertraktacjach na temat filmu o Januszu Korcza ku. Reżyserem jego byłby Aleksander Ford.

### „PAN TADEUSZ” PO NIEMIECKU

W dodatku literackim do zach.-niemieckiej „Die Welt” znajdujemy obszerny esej Tadeusza Nowakowskiego o wydaniu przez Eidos Verlag nowym niemieckim przekładzie „Pana Tadeusza”. Autor eseju podkreśla wagę dzieła w literaturze światowej i z uznaniem mówi o zasługach Hermanna Budden-slega, autora przekładu. Zastrzeżenia natomiast zgłasza odnośnie formy przekładu: Hexametrum — zdaniem Nowakowskiego — sprawia, że przekład Budden-slega jest dziełem niemal samolnym i nie oddaje kolorytu i dynamicznej w swoim rodzaju poetyckiej atmosfery „Pana Tadeusza”.

## POLONICA

## PRZEGLĄD PRASY

„KULTURA”

W „KULTURZE” zwraca uwagę artykuł Jerzego Kossaka „Ideologia i wizja kultury”. Powstał on na marginesie hasłańskich ataków współczesnych chińskich teoretyków literatury na pewne dzieła literatury radzieckiej, których problematyką jest szczególnie osobiste człowieka. Chińczycy podkreślają nieprzydatność takiej literatury (m. in. liryki miłosnej) dla celów rewolucyjnej. Kossak widzi w tym analogię do postaw teoretyków rosyjskich z lat dwudziestych naszego wieku, teoretyków zorganizowanych w tzw. „Proletkule” (Stowarzyszenie Kulturalnych Organizacji Robotniczych), którzy próbował odrzucić całą tradycję kulturalną minionych wieków na rzecz stworzenia nowej, odmiennej sztuki socjalistycznej. Ich hasła odejścia od powieści epickiej, od anegdoty w literaturze, od dosłowności w malarstwie w kierunku twórczości metafizycznej, aluzyjnej, wieloznaczności, aluzyjnej, wieloznaczności, w kierunku sztuki „skorzystała intelektualnych, poszukiwała uniwersalnego wyrazu wypowiedzi literackich i plastycznych, wiązały się i wywoływały — pisze Kossak — z błędów i wypaczeń tzw. „dziecięcej choroby lewicowości” teoretyków „Proletkultu”. Godny podkreślenia jest tu specyficzny paradoks. Podobne hasła, odwołujące się do przeszłości, w naszym czasie, choćby u nas, czy w Czechosłowacji, wywoływały się z kompletnie odmienną postawą; były właśnie reakcją na naszą, swoją „chorobę dzieciecej lewicowości”, która w tym minionym okresie, w ogólnym zarysie biorąc, rodziła sztukę schematyczną, ilustracyjną, spłyconą. (Nie negujemy tu, oczywiście, wartości dzieł rzetelnego talentu). Słowem wyniki zabiegów porównawczych słuszne w jednym przypadku, np. w odniesieniu do sytuacji chińskiej; nie zawsze korespondują ze zjawiskami, powstałymi z innych odrębnych — jak nasze — uwarunkowań społeczno-polityczno-kulturalnych. Artykuł Kossaka dotyka jednak jakichś rykoszetem nieważniejszych punktów sytuacji w polskiej literaturze i malarstwie; oby tylko nie był niewłaściwie przez niewłaściwych interpretatorów rozumiany.

Zygmunt Broniarek w korespondencji ze Stanów Zjednoczonych, omawiającej atmosferę kampanii przedwyborczej, daje odpowiedź na wiele dramatycznych pytań, jak np. dlaczego Barry Goldwater popierała młodzież, wysocy, przystojni, szczupli, dobrze utrzymani i ubrani blondyni, „absolutnie biali”? Lub pałerni dorobkiewiczze w pierwszym pokoleniu, wacy w myśleniu, nietolerancyjni w postępowaniu, brutalni w walce? Dlaczego Goldwater z pochodzenia Żyd, ma wielu przeciwników Żydów? Artykuł Broniarek nasycony jest wiedzą o socjologicznych źródłach przekonań politycznych, znajomością paradoksów tzw. „amerykańskiego sposobu myślenia”; możliwa do osiągnięcia tylko przez dłuższe przebywanie wewnątrz amerykańskiego społeczeństwa.

Z innych materiałów chciałoby się żywcem przedrukować recenzję K. T. Toepflitz o nowej książce Adolfa Rudnickiego „Pyl młosny”. Zebrane w tym tomie Niebieskie Kartki Rudnickiego — Toepflitz uważa za jeden z najbardziej ciekawych, osobliwych dialogów z naszymi czasami, jakie można spotkać w obecnym piśmiennictwie polskim.

„ŚWIAT”

K. T. Toepflitz w tym tygodniku obrodził. I stały felieton w „Kulturze” i recenzja tamże o Rudnickim, i felieton filmowy w „Świecie” — oto co na razie zdolaliśmy zauważyć. Ale Toepflitz czyta się świetnie. W felietonie społeczno-obyczajowym z zakresu oddziaływania kultury masowej operuje celnymi sformułowaniami, z paradoksem, w recenzji — „czuje” pisarza; spoczył jego twórczość, zaś rozległa wiedza filmowa i wiedza kultura literacka, bez której nie do pomyślenia jest dzisiaj warsztat krytyki filmowej — pozwalają mu na wychwytywanie najbardziej istotnych problemów, nurtujących dzisiejszą sztukę w ogóle. Mam tu na myśli jego uwagi w recenzji ze „Środkiem życia” Felliniego, mówiące o widocznym w tym filmie zacieraniu się dystansu między fikcją, a rzeczywistością, o nie możliwości tworzenia rzeczy skończonych, zamkniętych w swej fikcyjności, zobiektywizowanych, słowem o problemie, który w literaturze występował już co najmniej od lat pięćdziesięciu.

OBSERWATOR

KRYSTYNA WYRZYKOWSKA

# SWIKCESY? OWSZEM ALE...

Dalszy ciąg ze str. 1

olbrzymia poprawa, i że temu właśnie zjawisku zawdzięczamy w znacznej mierze poważny rozwój eksportu oraz polepszenie jego struktury i opłacalności.

Ale — ad rem. Do najpoważniejszych grzechów producentów, a równocześnie naszych aktualnych kooperantów, zaliczam: niepunktualność dostaw. Np. w I kwartale br. zakłady przemysłu bawełnianego dostarczyły nam zaledwie 20 proc. zakontraktowanej ilości tkanin z filmdrukiem, zaś zakłady andrychowskie prawie połowę do staw II kwartalu nadesłały nam w późniejszym terminie. Niepunktualność jest specyfiką nie tylko „bawełny”, celują w niej również niektóre przedsiębiorstwa przemysłu lnianego lub wełnianego, zwłaszcza podległe Zjednoczeniu-Półniale w Bielsku.

Drugi grzech główny naszych dostawców to zbyt długie robienie wzorów nadsyłanych przez zagranicznych klientów. Bywa np. tak, że klient przysyła wzór i... czeka na wprowadzenie go do produkcji cały rok. Przez ten czas wzór wychodzi z mody lub klient przyjmuje ofertę innego, bardziej operatywnego eksportera, a my zostajemy na lodzie.

Aczkożliwie nasze tkaniny cieszą się w świecie marką solidnie wykonanych (i to jest prawda, gdyż złych nie przepuszcza się przez sito różnych kontroli) zbyt często mamy kłopoty z powodu niskiej jakości tkanin, które zakład próbuje przemyścić do dostaw na eksport. Tak było w przypadku tkanin wadliwie wykończonych w łódzkich ZPW im. Struga oraz w niektórych zakładach śląskich. Również Zakłady Przem. Włókien Sztucznych w Gorzowie nadsyłają do produkcji tkanin złą przędzę. Wykonana z nich tkanina stylowana nie pozwala na równomierne wybarwienie, wychodzi w pesy, smugi itp. Muszę zaznaczyć, że nie są to sporadyczne kłopoty z powodu złej przędzy gorzowskiej, ale trwające permanentnie już od dwóch lat.

I ostatnia sprawa — to zbyt wąski jeszcze asortyment tkanin weł-

nianych. Przemysł, wzorem branży jedwabniczej, bawełnianej i lniarskiej, poprawił kolorystykę i wzornictwo tkanin. Nie wprowadza jednak różnych mieszanek elany z innymi włóknami, poza wełną. Zbyt często też w strukturze tkanin odbiega się od minimalnych tolerancji wagowych. Produkowane tkaniny są za grube, o większym niż wymaga klient zużyciu surowca. Jest to niezgodne z wymogami mody światowej, która lansuje tkaniny o konstrukcji lekkiej oraz naszymi interesami ekonomicznymi. Niestety i w tej dziedzinie producenci są nieczuli na nasze monity i uwagi.

Aczkożliwie, jak już zaznaczyłem — w produkcji tkanin na eksport dokonał się u nas w okresie ubiegłych dwóch lat poważny postęp (modne wzornictwo i wprowadzenie nowoczesnych aparatów szlachtenych) — usunięcie wspomnianych wyżej mankamentów, przyczyniłoby się do dalszego rozwoju eksportu i poprawienia jego struktury, a przez to i do wzrostu obrotów CETEBE, przypuszczalnie w granicach do 15 proc.

**MOWIA DYREKTORZY  
SKORIMPEXU — MACIEJ  
MIŁOBĘDZKI I STEFAN  
NAWROCKI**

— Może to się wydawać paradoksem, ale... należymy do czołowych eksporterów galanterii skórzanej (torebki damskie, teczki, walizy, nesesery, paski do zegarków itp.) oraz skórek futerkowych (niebieskie lisy i norki). Nasze torebki ze świnięj skóry sprzedajemy na najbardziej wybredne rynki (Francja, Włochy, NRF, Anglia, ZSRR...) i każdy, będąc np. w Paryżu, może się o tym przekonać wstępując do luksusowego magazynu mody przy pl. Opery, gdzie torebki „Made in Poland” sprzedaje się w cenie ok. 50 dolarów za sztukę.

Nasz zysk z tego eksportu mógłby jednak być większy, gdyby nie... zamki i różne okucia produkowane przez nasz przemysł krajowy. Są one tak niskiej jakości, że dyskwalifikują najładniejszą nawet torebkę, walizę czy teczkę. Nie było rady — musieliśmy rozpocząć import tych dodatków z zagranicy.

Nieco inne problemy mamy w eksporcie towarów przemysłu obuwniczego. Ilość modeli jest nawet może wystarczająca, ale sam tryb przygotowania ich kolekcji nie zawsze pokrywa się w czasie z potrzebami handlu zagranicznego. Dzieje się więc często tak, że kolekcje wzorów przygotowuje się na ostatnią chwilę, nie uwzględniając wszystkich, często najbardziej atrakcyjnych propozycji.

Jakie błędy popełnia, naszym zdaniem, przemysł? Przede wszystkim za mało uwagi przykłada do specjalizacji produkcji. To jest na pewno w jakimś stopniu przyczyną, że np. z damskimi czółenkami nie możemy wejść na rynki zachodnioeuropejskich krajów. Modele pantofli damskich są nieodpowiednie, wzornictwo tego typu obuwia niemodne, fasony przestarzałe. A przecież radomski „Radokór” ma wszelkie warunki, aby w produkcji pantofli damskich zdobyć wysoką specjalizację. Tak, jak Zakłady Przemysłu Skórzanego w Łodzi, które rozpoczęły, i to bardzo udanie — produkcję modnych damskich sandałków na zamówienie handlu zagranicznego. Możliwość specjalizowania się w określonym typie obuwia mają — naszym zdaniem — także zakłady w Chotaku i w Otmęcie. Ale o ile „Otmek” wychodzi z szerszym asortymentem obuwia męskiego welurowego na rynek, o tyle „Chelmek” wciąż nie może zdobyć się na przygotowanie produkcji zgodnie z wymogami zagranicznych odbiorców. Natomiast niegdyś mało znane Zakłady w Starogardzie zdobyły już sobi markę wysokiej klasy w produkcji sandałów męskich. Sandały te cieszą się dużym popytem, zaś ich marka nie ustępuje markom producentów zachodnich. Pewne próby specjalizowania się w tym obuwiu zrobili również ambitne Zakłady Przem. Skórz. w Nowym Targu. Oby tak dalej.

Wytykając przemysłowi obuwniczemu błędy trzeba jednak pamiętać, że należą on do młodych producentów towarów na eksport, a już szczególnie młodych w dziedzinie ekspansji na rynki krajów wysoko uprzemysłowionych. Dlatego osiągnięcie w niektórych nawet działach, jak np. we wspomnianych sandałach — standardu światowego należy traktować jako poważny sukces tego przemysłu i zachętę do dalszej specjalizacji produkcji. Poprawie winna także ulec jakość skór wierzchnich, które nie są dostatecznie i prawidłowo wykańczone. Uniemożliwia to uzyskanie właściwych wybarwień, co z kolei ogranicza możliwości eksportowe naszej centrali.

\* \* \*

**MOWI DYR. HANDL. CONFEXIMU  
— FRANCISZEK KRUCZKOWSKI**

— Mam mało czasu. Proszę, niech pan zadaje pytania?  
— Jakże macie kłopoty...  
— Przede wszystkim z powodu tkanin...  
— O tkaninach słyszeliśmy już w CETEBE. Może pan powie coś o konfekcji...  
— Właśnie chcę o niej mówić. Mam coraz lepszą odzież, ale kłopot z tym, że modne tkaniny nadsyłane do zakładów szyjących odzież na eksport przychodzą z dużym opóźnieniem.

Drugi mankament to fatalna jakość dodatków: różnych tasiemek, klamerek, zamków błyskawicznych, guzików i innych. Nie przejąskrawię problemu jeśli powiem,

że z każdym rokiem z dodatkami mamy większe kłopoty. Pogłębia się bowiem kontrast między coraz lepszym wzornictwem tkanin, coraz modniejszą konfekcją gotową, a nadsyłanymi dla niej dodatkami. Weźmy chociażby tzw. sztywne do garniturów i kostiumów. Już trzy lata temu były one za grube, za sztywne do szytej konfekcji, a dziś kiedy konstrukcja tkanin poprawiła się, kiedy stały się one cieńsze, delikatniejsze sztywne pozostały tak samo zle. Podobnie niemodne guziki psują nierazko cały efekt najstaranniej nawet i najmodniej uszytej sukienki. To są niby drobnostki, ale tylko na pozór. W modzie bowiem wszystko zależy nieraz od takich drobnych nie znaczących szczegółów.

— A opakowania?  
— Też nieodpowiednie. Nasze doskonale skrojone i uszyte garnitury, produkcji znanych już u odbiorców zakładów w Bytomiu, zamiast do pojemników z wieszakami — pakuje się w kartonowe pudełka, w których docierają do kupca w stanie godnym pożalowania. Byłem niedawno w Kanadzie i rumieniem się ze wstydu oglądając nasze koszule ze Szczecina, z wygniecionymi, zabrudzonymi kołnierzykami. Także nasze pochochy stylowane, aczkolwiek przewyższają nierazko w jakości wyroby zagraniczne, giną przy efektywnie opakowanych pończochach z krajów Europy zachodniej, Anglii czy USA. Wciąż jeszcze nasi producenci towarów na eksport nie mogą zrozumieć, że opakowanie to połowa powodzenia towaru na zagranicznym rynku, że nie wystarczy solidnie towar wykonać, trzeba także umieć go efektywnie kupcowi pokazać.

— Narzekał pan swojego czasu na współpracę z przemysłem dziewiarskim. Czy uległa ona poprawie?

— Dziewiarstwo wykazuje coraz większą ekspansję na zagraniczne rynki i to jest zjawisko bardzo pocieszające. Mogłoby jednak być lepiej, gdyby producenci z tej branży pamiętali, że handel zagraniczny ma swoje wymogi i opłaci się mu eksportować nie tylko duże partie towarów, jak tego domaga się przemysł, ale i te mniejsze; że wyroby wełniane są wciąż jeszcze za grube, nadsyłane w zbyt wąskiej skali kolorów; że należy poprawić konfekcjonowanie, zwiększyć elastyczność niektórych gatunków pończoch stylowanych itp.

Jeśli mowa o dodatkach, to w dziewiarstwie widać najlepiej jak wielka jest potrzeba polepszenia ich jakości. Czasem poprawa ta zależna jest nie tyle od inwestycji (np. zakupu nowych maszyn), ile od zwykłej solidności zakładu czy sprawnej współpracy organizacyjnej w kooperacji. Np. skarpety elastylowe dyskwalifikowane są nierazko wskutek nieodpowiedniego koloru gumki nadsyłanej dla wykonania ściągacza. Słowem — jest nad czym łamać sobie głowę, bowiem coraz bardziej rozwijający się młody eksport naszej centrali i rosnące wymagania klientów nakładają będa na nas coraz to większe obowiązki. Sprostamy im tylko w warunkach pełnego zrozumienia potrzeb handlu zagranicznego także i ze strony producentów, którzy w pomysłnym rozwoju kontaktów handlowych Polski z innymi krajami mają decydujące słowo.

Rozmawiała: K. WYRZ.

## LISTY do REDAKCJI

W korespondencji jaką otrzymuje nasza redakcja brzmią — lub pobrzmiwają — różne tony i różne nuty. Najczęściej bywa to jednak nuta ŁÓDZKIEGO PATRIOTYZMU, taka, jak w dwóch listach poniżej przedrukowanych w tej rubryce. Adresy autorów listów znane są redakcji.

List pierwszy

**DROGA REDAKCJO!**

Zacznij wojnę — święta wojna! — przeciw jednostronnemu eksploataowaniu — tak to nazwiemy — Łodzi przez Warszawę. Mam na myśli stały odpływ artystów łódzkich do Warszawy. Ponieważ takie zjawisko jest w zasadzie normalne (chyba na całym świecie aktor, piastek czy pisarz marzy o przeniesieniu się do stolicy) nie ma co mu się przeciwstawiać. Ale w zamian za talenty (Dejmek, Voił, Szmaglewska) Łódź powinna od Warszawy dostać jakąś rekompensatę: np. powinny do Łodzi przyjeżdżać na gościnne występy warszawskie teatry z najlepszymi spektaklami — i to nie tylko w sezonie ogorkowym i „dla grosza”. Chcielibyśmy choć raz w miesiącu gościć jakiego warszawskiego teatru. Czy nasze marzenia są zbyt śmiałe?

A. D.

List drugi

**SZANOWNNY REDAKTORZE!**

Czy zauważył Pan, że się stało z łódzkim „Kiermaszem Plastycznym”? Można tam kupić trochę drobiazgów z tzw. biżuterii, jakieś niezbyt atrakcyjne lampy i czasem drogą bardzo kieckę. A przecież miało to być stała ekspozycja naszego aktywnego i bardzo twórczego środowiska plastycznego, ekspozycja umożliwiająca nam, szarym i niebogatym przeciętnikom nabycie dzieła sztuki. Wydaje mi się, że sprawa została znów pokopiona. A przecież tyle ludzi zmienia mieszkania, urządziła się, szuka czegoś, co by upiększyło „domowe zacisze”. A tymczasem nadal panoszy się w Łodzi tandeta artystyczna — bardzo zresztą droga.

No, ale żeby być konstruktywnym, konczę propozycją: Państwo, Wydział Kultury i Związki Zawodowe powinny tę sprawę traktować jako stałą akcję i na to nie dorywcza akcja, to codzienna, uporczywa działalność. Czekamy więc na uaktywnienie „Kiermaszu”.

Łódź, Z. C.

**SPROSTOWANIE**

W poprzednim, 33 numerze „Odgłosów” zamieszczone zostały 3 wiersze Wasyla Kocenowa. Przekład wszystkich wierszy na skutek pomyłki przypisany został Tadeuszowi Giegierowi. Niniejszym wyjaśniamy, że p. Giegier tłumaczył wiersz „Jesień”; natomiast dwa pierwsze „Gdzie Twój krok” i „Syberia” spolszczył Roman Gorzelski, którego — za opuszczenie jego nazwiska — przepraszamy.

**ŁÓDZKIE XX-LECIE**

## INSTYTUT PRZEMYSŁU SKÓRZANEGO

**MYSŁ:** W miarę rozwoju w naszym kraju przemysłu skórzanego — powstawała konieczność rozbudowy placówek naukowo-badawczych w tej gałęzi gospodarki. W początkach lat sześćdziesiątych postanowiono zbudować dla rozbudowującego się Instytutu gmach przy ul. Zgierskiej.

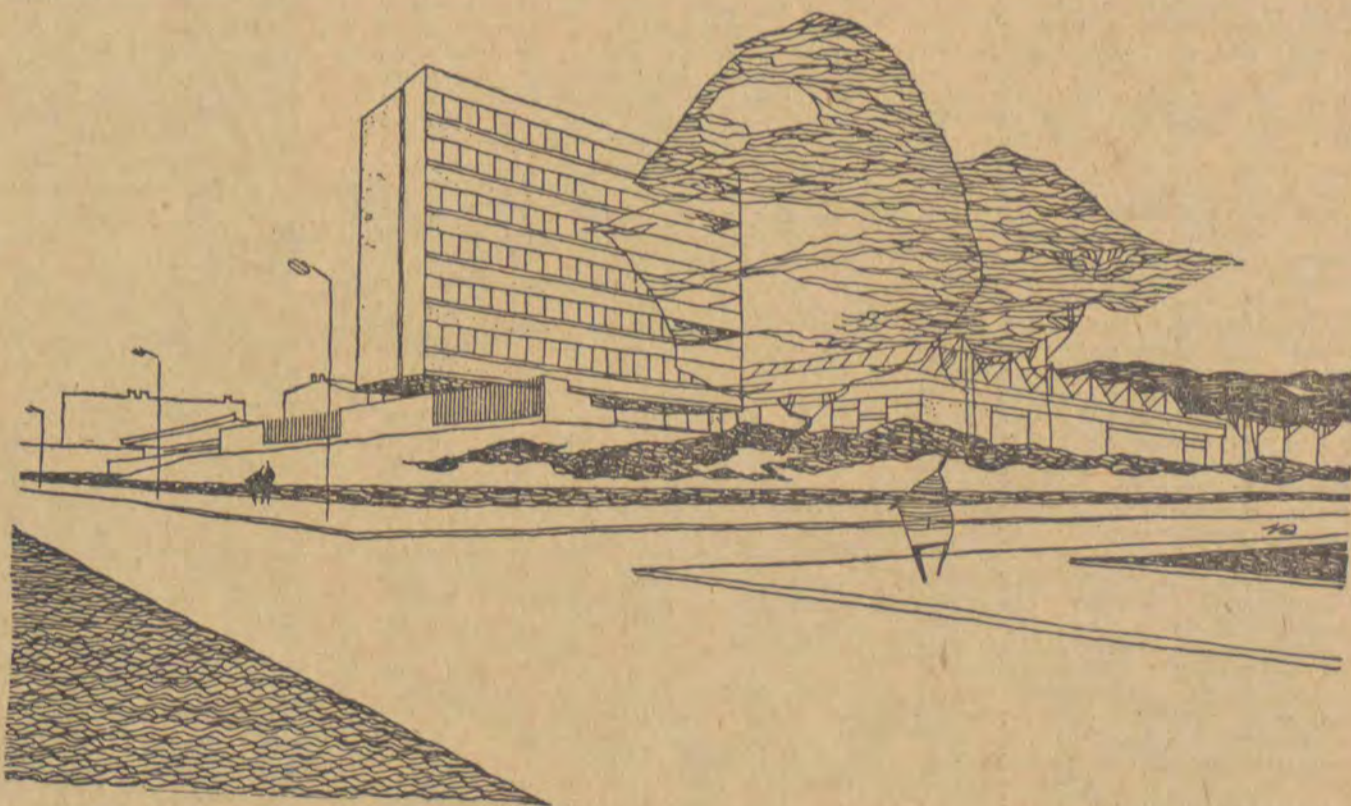
**DANE:** Budowę rozpoczęto w maju 1962 roku, zakończono 22 lipca 1964 roku. Gmach ma 7 kondygnacji, a kubatura jego wynosi 12.834 m sześć.

**PROJEKTANCI:** Projektant mgr inż. arch. Stanisław Konarzewski, konstruktor mgr inż. Stanisław Szwarzycyk z Biura Projektów Przemysłu Skórzanego.

**KOSZT:** Ok. 40 milionów złotych.

**WYKONAWCA:** Łódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Przemysłowego nr 2. Kierownik budowy: inż. Tadeusz Jarczyński.

Rysował: mgr inż. arch. Sławomir Arabski.





Wysłaliśmy dzieci na kolonie, i teraz czekamy na ich listy. Jakie są te listy? Co zawierają? Czy ich autorzy są zawsze w zgodzie z prawdą, ortografią i normami obyczajowymi dorosłych? I co w listach naszych milusińskich tak nas wzrusza i cieszy?

Drukujemy dziś autentyczne próbki epistolografii kolonijno-wakacyjnej. Bez komentarzy i wyciągania wniosków. Po prostu parę listów od naszych Milusińskich, listów, na które zazwyczaj tak niecierpliwie czekamy.

#### KOCHANA MAMUSIU!

Chcę mamie napisać, że nasz wychowawca nijaki pan (tu następuje nazwisko) zadaje różne głupie kary. Dziś byliśmy z Kaziem w Wiśle, chcąc zawiadomić o tych wszystkich niesprawiedliwościach i tyraniach na miarę Oświęcimia. Ale nie dostałem połączenia.

Wychowawca dostał od kierownika grądę, ale rozmyślony zadał Kaziowi karę. Chcę mamusi dowiedzieć, że podstawił haki Kaziowi.

Niżej podpisani pokrzywdzeni  
Kazio i Zbysio  
P. S. Proszę zawiadomić radę zakładową.

Następnego dnia mama otrzymała kartkę postową następującej treści:

Ten ostatni list nie ważny. Pisaliśmy go pod wpływem chwilowego rozgoryczenia. Teraz wsjo — okej.

Kazio i Zbysio

#### KOCHANA MAMO!

Proszę cię, żebyś mi przysłała kopertę zaadresowaną do Cioci Basi, ponieważ dostaliśmy list od cieci i nie mam w czym odpisać. Poszliśmy wieczorem nad Wisłę, która ma straszliwie kamieniste dno. Gdy wreszcie weszliśmy do wody odwołała mnie ta doktorka. Ale i tak zdążyłem skaleczyć się kamieniem w nogę. Prosto w pięcie. Na szczęście krew mi nie leciała. Oczywiście nie poszedłem do higienistki.

Na kolonii jest konkurs czystości grupowy i indywidualny. Każda grupa otrzymuje na dzień 20 punktów. A za źle pościelone łóżka, niepoustawiane buty lub walizki otrzymuje się — 2 punkty. Nasza grupa za pierwszy dzień otrzymała 0 punktów. Pani mówi, że bardzo dobrze ściele łóżka.

Pozdrowienia dla ciebie i wszystkich

Adaś

#### KOCHANA MAMO!

Przez całą podróż różniliśmy w karty bo tylko na miejscu nie wolno. Nic mi się nie nudziło, chociaż przyjechaliśmy o 20.30. Bardzo jest wesoło (innym podwojnem, gdyż naśmiewają się z mego biednego brzuszka). Wieczorem pękamy ze śmiechu i wygłupiamy się. Pozdrów babcię i tatę

całuję Krzysio

P. S. Córka kierowniczkii (lat 12) codziennie przychodzi do mnie na lekcje twista.

#### KOCHANA MAMO!

Bardzo tęsknię za wami, chociaż jest tu bardzo ładnie. Wczoraj byłem kandydatem do samorządu kolonijnego, a dziś jestem już jego członkiem (tylko 8 osób z kolonii) i to nie byle jakim, jestem przewodniczącym sekcji kulturalno-oświatowej. Mam moc roboty, gdyż urządzenie wszystkich ognisk, zgaduj-zgadul i wszelkich imprez leży na mojej głowie. Zaczęłem ograniczać swoje wydatki, bo po kupnie latarki, zapasowej baterii i bezy zostało mi tylko 30 złotych. Ale ten Konrad Trzaskowski ma dobrze. Wziął ze sobą 70 złotych i jeszcze mama mu przysłała 50. Czy nie mogłabyś mi przysłać dwie dychy? Ja sprawuję się dobrze, dużo pracuję społecznie. Wczoraj o pierwszej w nocy wróciłem z zebrania samorządu. Piszczęsto i przyslij to o co cię prosiłem

Andrzej

#### MOI KOCHANI!

Jestem już tu dwa dni. Jest klawo. Co prawda opieki nie ma tu absolutnie żadnej, ale jest byczo. Spł mi się świetnie, obżeram się jagodami i lażę po górach. Bardzo dobrze, że Mama nie dała mi kolibra, bo złodziejstwo kwitnie. Dziś obrobili kil-



#### KOCHANA MAMUSIU!

Koloniją bynajmniej zachwycony nie jestem, ale krajobrazem. Korzystając z tego, że była czeska wycieczka, wyhandlowałem 2 korony i 23 halerze. Nic mi nie piszesz, czy podobały ci się psy (znaczkii) kupilem je specjalnie dla ciebie, bo wiem, że ci się podobają ładne znaczkii. A dzisiejsze ładne? No to kończę, całuję tatę, babcię

wasz uważający na siebie  
Romek

#### KOCHANA MAMO!

Czuję się dobrze, tylko że spodnie te z płótna pobrudziłem w glinie. Dlatego przyslij mi nowe. Jeśli nie możesz przysłać mi nowych spodni, to przyslij mi 100 złotych, to sobie tu kupię. Gdybyś nie mogła przysłać mi stu złotych, to przyslij mi szczotkę, to sobie te brudne spodnie oczyścę.

Witek

#### KOCHANA MAMO!

Bardzo tęsknię za tobą i chciałbym dostać w paczce butelkę od mleka. Mieszkamy w ciemnym lesie i w nocy gdy chcę zrobić siusiu, muszę wychodzić do lasu, ale się boję, więc nie wychodzę. Inni chłopcy robią do butelek i rano wlewają. Ja nie mam butelki, więc proszę, byś mi przysłała... ale koniecznie taką od mleka, która ma szeroką dziurkę

Zbysio

#### KOCHANY TATO!

Przyslij mi koniecznie fuzję i naboje. W lesie są dziki to bym jednego zastrzelił i mama by miała mięso na obiad.

#### KOCHANA MAMUSIU!

Jestem bardzo chora, bo mnie boli brzusek. Pani mówi, że to od wiśni, których się wczoraj najadłam. Ja myślę, że to za karę, bo wiśnie kradliśmy z drzewa gospodarza.

Napisz co robić, aby brzusek nie bolał i aby często nie chodzić do zero zero. Ja już pzy-

rzekłam sobie, że już więcej nie będę kradła wiśni, ale to nie pomaga i brzuch mnie boli.

Kasia

#### KOCHANA MAMUSIU!

Piszę do ciebie w sekrecie, prosząc byś nie pokazywała tego listu tatusiowi, bo będzie się śmiał. Nie wiem jak to się stało, że zostałem poetą. Piszę wiersze do Ewuni. Nie znasz jej, ale chciałbym bardzo żebyś ją poznała.

Wczoraj byliśmy w lesie. Zbieraliśmy jagody i maliny. Ewunia dała mi maliny. Były słodsze od wszystkich. Teraz cały świat mówi mi, bym pisał o Ewuni. Powiedz czy dobrze robie

Tadeusz

#### KOCHANA MAMUSIU!

Za tydzień wyjeżdżamy. Do domu. Pan wychowawca to się z tego cieszy, bo się pokłócił z panią higienistką i teraz ona chodzi do lasu z wartownikiem. Mnie i Jankowi nie spieszy się do domu... Chciałbym zostać tu na całe życie, gdybyś jeszcze tu ze mną była, mógłbym tu być całe wieki. Próbowalem nawet dobrze się sprawować, aby mnie w nagrodę zostawili na drugi miesiąc, ale nic z tego nie wyszło. Janek powiedział, że trzeba mieć plecy, aby zostać dłużej. Więc się zobaczymy wkrótce dlatego nie pisze więcej, bo ci wszystko opowiem.

Artur

Zebrał Zbigniew Wojciechowski

## LISTY naszych milusińskich

ka walizek z czekolady. Narazie kończę

pa... Janusz

#### KOCHANA MAMO!

Przyjedź do mnie koniecznie. Jak ty nie przyjedziesz, to ja przyjadę do Ciebie. Tu wcale nie ma ciepłej wody i trzeba się myć w jeziorze. Wstawać musimy bardzo rano i musimy ścielić łóżka. Nie noszę kokardek, bo nie ma mi kto uczesać warkoczy... Przyjedź to mnie uczeszysz. Chłopcy są niegrzeczni. Mówią brzydkie wyrazy. A wczoraj swe go kolegę wysmarowali pastą do butów — wiśniową.

Pozdrawiam tatę

Romka

Zapomniałam się spytać gdzie schowałaś czekoladę.

## TOMASZÓW — BŁĘKITNE ŹRÓDŁA

DOJAZD: Pociągłem z Dworca Fabrycznego o godz. 5.25, 8.20. Bilet drugiej klasy pociągu osobowego kosztuje 17 zł 60 gr.

CO OBEJRZEĆ: Jedną z najstarszych budowli miasta — dawny pałac hrabiów Ostrowskich (Armii Ludowej 15) obecnie Muzeum Regionalne ze zbiorami etnograficznymi i przyrodniczymi. Po drugiej stronie Pilicy leży rezerwat przyrodniczy Błękitne Źródła, jedno z najciekawszych w Europie źródeł krasowych (kras — obszar występowania swoistych zjawisk hydrograficznych, typowych dla terenów zbudowanych ze skał łatwo rozpuszczalnych w wodzie). Niebieskozielone zabarwienie źródeł jest wynikiem oświetlenia wód i zawartością w nich minerału zwanego glaukonitem. Glaukonit ma postać zielonkawych ziarenek i używany jest do produkcji farby.

GDZIE ZJEŚĆ: Restauracja — „Mazowianka”, Al. Wyzwolenia 1/3, „Tomaszowianka” — pl. Kościuszki 1/3, „Jagódka” — Warszawska 8/10. Bary — „Pillica”, Akacjowa 16, „Spalski” — Zubrzyckiego 37, „Turystyczny” — Wodna 30. Kawiarnie — „Literacka” — Armii Czerwonej 6, „Błękitna” — Al. Wyzwolenia 19.

PAMIĄTKI: Muzeum (Armii Ludowej 15) oraz Oddział PTT-K (Armii Ludowej 10).

HISTORIA: Początkowo, w wieku XVIII znany był Tomaszów jako osada hutnicza. W początkach XIX wieku osiedlają się tu sukienicy i tkacze. W roku 1850 Tomaszów otrzymuje prawa miejskie. Dziś liczy ponad 50 tysięcy mieszkańców.











# KONRAD FREJDLICH ŚLADAMI DAWNEJ ŁÓDZI

Wydawnictwo Łódzkie (po „Fortunie” i „Krusche” Moniki Warneńskiej oraz „Geyerowskiej legendzie” Andrzeja Berkowicza) obdarowało nas nową książką z serii popularyzującej dzieje naszego miasta. Jest to historia zawrotną kariery prezesa Widzewskiej Manufaktury, Oskara Kona.

Trzeba od razu zaznaczyć, że „Widzewski królik” Andrzeja Izerskiego góruje nad wymienionymi wcześniej pozycjami. Choć niełatwo stwierdzić w jakim procesie jest to zasługa autora, a w jakim starego przemysłowca. Losy stojącego dziś nad grobem Kona ułożyły się wyjątkowo dramatycznie.

Biografia Oskara Kona jest, z grubsza biorąc, wyliczeniem wszystkich nieprawości, których dopuścił się w ciągu długich lat panowania faktyczny władca Widzewa. Nie chodzi tu wcale o sprawy obyczajowe, chociaż i one były pikantne, ale już o całkiem wyraźne i prawie zalegalizowane wchodzenie w kolizję z prawem, które człowieka mniej sprytnego niż Kon dawno zawiodłoby do więzienia. Denuncjowanie własnego ojca i przyjaciół należy do najłagodniejszych sprzeniewierzeń prezesa Wimy, co chyba dostatecznie ilustruje możliwości bohatera „Widzewskiego królika”.

Otrzymałmy więc biografię fabrykanta i w tych wyjątkach, kategoriach będziemy rozpatrywać nowy debiut łódzki, pomijając sprawę klasyfikacji formalnej tzn. czy książkę włożyć w półkę z reportażem czy z pamiętnikami, a może do powieści. Otrzymałmy więc biografię, a biografii mają wiekowe tradycje począwszy od Plutarcha z jego „Żywotami sławnych mężów”, poprzez twórczość hagiograficzną aż po prace współczesnych historyków i pisarzy w rodzaju E. Tarle'a i A. Maurois.

Biografie z lat najwcześniejszych, kiedy chętnie nazywano je *żywotami* miały charakter raczej utylitarny niż poznawczy. Były to gotowe wzorce zachowań do naśladowania i nawet wówczas, gdy portretowanego trudno było z pewnych postępków wytłumaczyć, unosił się nad wszystkim duch złotej maksymy Ulpiana: „Honesto vivere etc.”, co weszło do naszego języka jako: „Należy żyć dobrze, nikomu nie szkodzić, każdemu dawać to, co mu się należy”. Unosił się nad tymi biografiami także duch imperatywu kategorycznego, ufajęcego dużo później przez Kanta w zdanie: „Postępuj zawsze tak, aby każdy twój czyn mógł stać się prawem”.

Stopniowo gotowe wzorce postępowania przestały wystarczać. Faktograficzne

tworzywo przerastało zbożne zamiary dziełopisów. Akcent przesunął się w biografii z czysto praktycznych wskazań postępowania na dokument i na poznanie, a użyteczność tej wiedzy pozostawiono już czytelnikowi. Podobno Napoleon rozczytywał się w czynach Aleksandra Wielkiego, a Hitler z kolei w biografii Napoleona.

Bohater książki Izerskiego nie jest na pewno postacią, którą można rysować ku pokrzepieniu serc. Spisując dzieje Oskara Kona autor „Widzewskiego królika” nie mógł więc zalecać czytelnikowi gierki cynicznego przemysłowca. Od czasu do czasu nazywa je zresztą po imieniu, a określenie: obmierzle, należy tu do najdelikatniejszych. Możemy być zupełnie spokojni. Izerski dostatecznie oddał się od swego bohatera i nawet jeśli tłumaczy jego postępek, to w każdym razie nie próbuje ich usprawiedliwiać. Choć jako autor narażony jest na największe niebezpieczeństwo, gdyż jego stosunek do portretowanego nie może być obojętny.

Ale samo potępienie Oskara Kona nie jest jeszcze dostatecznym pretekstem do spisania jego dzieł. Gdyby to nastąpiło w tamtych warunkach ustrojowych moglibyśmy nazwać pracę Izerskiego demaskatorską, a on sam stałby się pewnie przedmiotem zainteresowania policji Wimy z osławionym Matyskiem na czele. W naszych warunkach ustrojowych ujawnienie fabrykanckich skandali nie jest już aktem odwagi cywilnej, więc i demaskatorskie ostrze nieco stępiało.

Starłem się wyjaśnić samemu sobie, co wobec tego chciał Izerski zrealizować swoją książką. Uprzejmie wyjaśnienie Wydawnictwa na obwołanie o popularnej serii publikacji z dzieł Łódź n'e dało mi właściwie żadnej odpowiedzi. Wydaje mi się, że miasto zasługuje na prawdziwą monografię, a nie na namiastki o życiu fabrykanckich rodzin. Nie jest to zarzut uczyniony Izerskiemu, ale wydawcy, Izerski z zadania postawionego przez wydawcę wywiązał się należycie.

Jak o tym poinformował w pierwszym rozdziale, notabene dla mnie najciekawszym z względu na czyste reportażowe techniki, autor „Widzewskiego królika” starał się przypomnieć, a jednocześnie rozbić legendę o Oskarze Konie. Rozbić, na jej miejsce wprowadzając fakty. Trzeba przyznać, że zgromadził masę materiałów do portretu. Książka posiada, jak się w języku dziennikarzy nazywa fakty, dużo mięsa.

Ale autor „Widzewskiego królika” chcąc rozbić legendę o Oskarze Konie wpadł jednocześnie w zastawioną na każdego dziennikarza pułapkę: dał się zbyt łatwo ponieść dziełom swego bohatera. To prawda, że życie Kona było ciekawe i bujne, ale trzeba je odnosić do konkretnej sytuacji. Wypareparowane, pozbawione tła jest tylko sensacja. Obawiam się, czy mimo ostrzeżenia poczynionego przez samego autora we wstępie, książkowy Oskar Kon nie zacząłby zbyt nio nad epoką, która go powołała do życia i w której faktach społecznych trzeba szukać motywacji działań tego, dziś wyjątkowo czarnego bohatera. Toteż największym mankamentem debiutu wydaje mi się to, że czyta się go zbyt lekko i gładko. Z drugiej strony zapewni mu to duży sukces czytelniczy.

Andrzej Izerski: „Widzewski królik”, Wydawnictwo Łódzkie, 1964 r., str. 227.

Ludzie mojego pokolenia pamiętają dobrze, jakim powodzeniem cieszyli się przed wojną książki podróżnicze Arkadego Fiedlera. „Ryby śpiewają w Ukajali” czy „Zdobycamy Amazonkę” były tak poczytne, że w końcu weszły do potocznego codziennego języka jako hasła i zawołania. Można by jeszcze dodać do nich „Jutro na Madagaskar” tegoż Fiedlera, a z obcych autorów — „Zniewo wędrowek” Richarda Katza. Działają tu tzw. powidki poznawcze: ludzie ciekawi są życia i obyczajów innych krajów i chętnie sięgają po książki, które mogą zaspokoić ich oczekiwania. Ale nie tylko. Ostatecznie książek podróżniczych mieliśmy wiele, a jednak nie wszystkie spośród nich cieszyły się jednokowym wzięciem. Myślę, że o ich poczytności decydowały w głównej mierze talenty pisarskie autorów. Potrafili oni napisać o swoich podróżach w sposób żywy i barwny, z temperamentem i humorem.

Po wojnie literatura podróżnicza bynajmniej nie zmalała. Przeciwnie: ilość książek o obcych krajach wzrosła. W dalszym ciągu są one poszukiwane przez czytelników, którzy lekturę tego rodzaju traktują również jako pewien rodzaj rekompensaty za niedostatek czy niespełnienie ich własnego życia. Oczywiście książki podróżnicze piszą nie tylko pisarze. Piszą je także naukowcy, badacze, historycy. Ale nas obchodzi głównie wrażenia z podróży, spisane przez beletrystów, nie obciążonych bagażem wiedzy specjalistycznej. Nie dlatego, iżbyśmy do naukowców odnosili się z niechęcią. O, nie. Uchowaj Boże! Ale dlatego, że interesuje nas, jak na obcy kraj, jego życie i ludzi patrzy człowiek bez specjalnego przygotowania. Co potrafi on dostrzec i jaki obraz rozciągnąć przed nami mocą swego literackiego pióra. Z czego bynajmniej nie wynika, by pisarz nie przygotowywał się do swoich podróży i by nie robił tzw. studiów przygotowawczych. Ale to przecież nie to samo.

Czytelnikom, gustującym w literaturze podróżniczej, chciałbym polecić trzy nowe książki: „Do rajów i z powrotem” Jana Józefa Szczepańskiego, „Płyni łajbo moja” Władysława Machajki i „W królestwie pierzastego węża” Zofii Jeżewskiej. Wszystkie one

# JAN KOPROWSKI Podróże do rajów

dotyczą krajów pozaeuropejskich. Otóż to właśnie. Wydaje się, iż nasza bliska i dalsza Europa została już dostatecznie opisana. Wiemy stosunkowo wiele o Francji, Anglii, Niemczech czy Włoszech, sporo napisano już o krajach bałkańskich, skandynawskich, natomiast wciąż odczuwamy niedosyt wiadomości o krajach zamorskich, o krajach egzotycznych. Nie dzieje się to bez przyczyny. W miarę jak następuje coraz większa emancypacja ludów Azji, Afryki i Ameryki Południowej, wzrasta również nasz zainteresowanie nimi. Zresztą świat zmalał i nawet odległe kontynenty przybliżają się do nas, dzięki zdobyciom współczesnej cywilizacji technicznej.

Jan Józef Szczepański opisał podróż na Bliski Wschód, Władysław Machajek — na Daleki Wschód, a Zofia Jeżewska zawiozła nas do Meksyku. Ta ostatnia książka („W królestwie pierzastego węża”) najbardziej zbliża się swoim charakterem do pracy o charakterze badawczym. Nie dziwnego: autorka pojechała do Meksyku na zaproszenie Narodowego Instytutu Antropologii i Historii oraz Instytutu do Spraw Indian. Jej podróż była więc nie tylko podróżą w przestrzeni, była podróżą w czasie — po śladach dawnych zaginionych kultur i cywilizacji. Może też ta książka, choć z mniejszym napisanym talentem literackim, niż dwie pozostałe, a zwłaszcza książka Jana Józefa Szczepańskiego, najwięcej przynosił materiał poznawczy i w stopniu maksymalnym zaspokaja naszą ciekawość świata. O Meksyku mówi się, że jest to kraj, w którym co tydzień wybuchają rewolucje, przerywane na czas padania deszczów. Rzeczywistość jest jednak o

wiele bardziej dramatyczna, niż można by wnosić z tego żartobliwego sformułowania. Ciągłe trzęsienia ziemi, susze lub nadmierne opady powodują, że mieszkańcy tego kraju żyją w stałym napięciu, a niepokój i groza towarzyszą na co dzień ich egzystencji. O ile Zofia Jeżewska w swoich podróżach wciąż odwołuje się do historii i w niej szuka pomocy, o tyle pozostali autorzy niewiele troszczyli się o przeszłość. I Szczepański, i Machajek chcą jak najwięcej przekazać z teraźniejszości, ich opis ogranicza się prawie wyłącznie do tego, co dzieje się teraz, dziś i w tej chwili. Ale i między nimi są różnice. W książce Machajki co rusz dochodzi do głosu jego temperament polityczny, jego wyuczulenie na sprawy społeczne, na problemy i konflikty o charakterze socjalnym. Jan Józef Szczepański próbuje dośledzić życie z pozycji psychologa. W jego opisach autor jest zawsze obecny i widoczny, analiza widzianego świata odbywa się w nieustannej konfrontacji z doświadczeniem i pamięcią pisarza. Najwięcej obiektywizmu znajdujemy „W królestwie pierzastego węża”. Choć i Zofia Jeżewska nie stroni od zaznaczenia swojego osobistego stosunku, udaje się jej jednakże zachować wiele z tego, co cechuje bezstronny obserwator i chłodnego analityka i badacza. Jeżeli z jej książki dowiemy się bardzo dużo o kraju, po którym podróżuje, to z książek Machajki i Szczepańskiego dowiemy się bardzo wiele o nich samych. Zaden z nich nie chowa się za parawan beznamietnego obiektywizmu. Na każdym kroku czujemy ich temperament, osobisty stosunek do opisywanego zjawiska, aktywność i zaangażowanie.

Literacko rzecz ujmując najlepszą pozycją z tych trzech omawianych książek jest „Do rajów i z powrotem” Jana Józefa Szczepańskiego. Ten znany prozaik, autor znakomitych nowel i powieści, zachowuje i tutaj język precyzyjny, spójny, nasycony refleksją i filozoficzną przymką. Obserwacje jego pogłębione i przemyślane, dowodzą, że autor nie ułatwia sobie zadania, że nie pozwala ani na chwilę osłabnąć napięciu i skoncentrowanej uwadze.

Jeśli prawda jest powiedzenie, że podróż do krańców ziemskich jest jakby podróżą do rajów, zapraszam czytelników do tej podróży. Przewodnikami naszymi będą Zofia Jeżewska oraz Władysław Machajek i Jan Józef Szczepański.

## fraszki jana Czarnego

**NAGROBEK NACZELNEGO**

Tu leży redaktor rozumny,  
a nad nim złamane kolumny.

**MY POECL...**

W Polsce co trzeci  
mówi: my poeci...

# Notatnik KULTU RALNY

10-16. VIII. 1964 r.

## PONIEDZIAŁEK

Pisałem w ubiegłym tygodniu, że Łódź przejmuję paleczkę poetyckiej sztafety. To oczywiście zasługa nie tylko samych poetów — to również sprawa wytworzonej atmosfery. Bo oto codzienna ga-

## WTOREK

Niektórzy twierdzą, że lubię się czeplić, ale daję słowo, są rzeczy, których zrozumieć nie potrafię i dlatego po prostu nie raz dopytuję się o sens. Jest piękna i potrzebna seria popularnych

zeta — „Dziennik Łódzki”, rozpoczyna cykl „Witryna młodych poetów”. Czytelnicy, nawet najstarsi, nie przypominają sobie czegoś w tym stylu. „Witryna” ma zaprezentować 17 sylwetek młodych poetów — nie debiutantów zresztą, bo przeważająca ich część znajduje się w przededniu debiutu książkowego, a wielu ma już za sobą wydane pozycje. Do końca tego roku, przez łamy „Panoramy” przewinie się około pół setki wierszy. Niezależnie od tego, jakie to wiersze będą — rzecz sama w sobie jest optymistyczna.

## ŚRODA

Cóż bardziej wstrząsającego nad pośmiertnie wydaną książką pisarza. Cóż bardziej wstrząsającego nad książką o przyczynie dokonanej już śmierci. Stanisław Grzesiuk — pianista i piewca warszawskich przedmieść, więzień hitlerowskich kacerów, nie doczekał publikacji swojej książki o gruzlicy i ludziach nią dotkniętych. Nie namawiam do czytania tej książki. To książka trudna i nekajająca, jak choroba, o której mówi. Przez lekturę tej złej książki, zlej w najszlachetniejszym pojęciu tego słowa — przechodził miśmy z gorączką.

## CZWARTEK

Jeśli poeta napisze „strzelający krokodyl” — straszliwie inteligentny i dociekliwy czytelnik zaczyna dumać, jaki to krokodyl i z czego strzela. Nie chce bowiem uznać starej rzymskiej licentia poetica (Mała Encyklopedia Powszechna, str. 494). Widziałem dziś projekt neonu dla łódzkiej „Dziennicy”, Zielona pal-

ma, a z palmy spadają... cyrny. Zaręczam, że nikt z tysięcy łódzian, którzy oglądają będą niebawem ten neon, nie powie „panowie, przecież z palmy spadają mogą co najwyżej kokosy lub daktyle”. Wszyscy zgodzą się na tę licentia poetica, z poezją inaczej. Co drugi Polak nosi w swojej aktówce bulawę krytyka literackiego.

## PIĄTEK

Oto książka. Nie zaglądamy jednak do środka. Spróbujmy na okładce. Oprócz nazwiska zupełnie nieczytelna. Dotychczas sadziłem, że okładka książki winna informować. Okazuje się, że nie zawsze. A więc mamy pięć serduszek, dwa krzyżyki... Koloriki? Bóg z nimi. Znam możliwości poligraficzne łódzkiego drukarni. Oto książka. Wydana w mieście 300 plastyków, mieście niezłych grafików, mieście inżynierskich inicjatyw plastycznych. To ostatecznie nie straszne go — Kazimierzowi Bleszyńskiemu, bo jemu to właśnie znany (i dobry) malarz tak okładkę ozdobił — reklamy na szczelnie, nie popsuć nie zdola.

## SOBOTA

W „Chince” jak zwykle tłok. Sam kupiłem tam parę drobniaków — masek, wazoników itp. Ale jak się dobrze przypatrzeć, to cała ta kołorkowa produkcja mocno traci czynną rodzimym, czynną polskim. Rodem z odpustu w Łowiczu, rodem z najgorszych wzorów cepelowskiej „łamy produkcyjnej”. Nie przesadzajmy z tą „chinszczyzną”. W czym lepsza i ładniejsza jest ta produkcja znad Złotej Rzeki od naszych zakopiańskich tandet? Powtarzam — jak się dobrze przypatrzeć — różnica jest niewielka. A może właśnie dlatego taki tłok w „Chince”, a pustki w „Desie”? Bo przecież ceny i tu i tam jednako słone.

## NIEDZIELA

Drobniak. Mile sercu drobniak i drobniak irytujący. Czytam, że Ewa Demarczyk śpiewała piosenkę „Tomaszów” do słów Tuwima. Czytam, że Zygryd, to bohater germańskiego eposu „Nibelungi”. I tak i nie. Demarczyk śpiewała piosenkę z tekstem Tuwima i Tomaszowem w refrenie, ale tytuł, jeśli już chce się go podać brzmi: „Przy okrągłym stole”, a wiersz ten znajduje się w tomie „Stódma jesień”. Nie ma eposu „Nibelungi”, lecz „Nibelungenlied”, co znaczy „Pieśń o Nibelungach”. Niby drobniak, a drażni. Mile sercu drobniak i drobniak irytujący spotykane co chwila przy niedzielnej lekturze prasy.

Jerzy Wilman



Przedstawiam  
Państwu  
opowiadanie  
którego nie  
pozwolili mi  
zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

Z oknem padał śnieg. Grube, miękkie płatki pokryły prawie całą jezdnię i chodniki. Na przystanku autobusowym czekał ludzie. Paul Sambig znów zagłębił się w rozłożonych na biurku papierach. Do pokoju wszedł Juraska.

— Jeszcze nie poszedłeś? Chyba nie zostaniesz tu na noc.

— Mam trochę pracy. Muszę ją dzisiaj skończyć.

— Mężczyzna powinien czasami wpaść do domu, Paul.

— Tak, jeżeli ktoś na niego czeka. Ja nie mam takich obowiązków — uśmiechnął się Sambig. Słyszał, jak Juraska opuszcza biuro. Potem weszła sekretarka i powiedziała, by nie zapomniał zgasić światła i dobrze zamknąć drzwi. Paul zagłębił się w swoich papierach i czekał, kiedy ona wyjdzie. Po chwili zobaczył ją na ulicy. Wtedy wziął swoją teczkę i poszedł do seifu. Otworzył i usiadł na podłodze. Patrzył na poukładane paczki banknotów. Rece mu trochę drżały, kiedy zaczął wyciągać pieniądze. Teczka była zbyt mała, żeby wszystko zmieścić. Wtedy napełnił kieszenie, ale i tak nie był w stanie zabrać wszystkiego. Zamknął seif, wstał, ubrał się i wyszedł.

Było chłodniej niż przypuszczał. Śnieg skrzypiał pod stopami, a mroźny wiatr klął w oczy. Zapadał mrok. Zatrzymał taksówkę i kazał się zawieźć do domu. Miał jeszcze trochę czasu. Zdjął płaszcz i położył się na łóżku. Na nocnym stoliku stało zdjęcie uśmiechniętej kobiety. Paul spojrzął na nią i też się uśmiechnął. Lidio — powiedział głośno — śliczna, śliczna Lidio. Odwrócił się na plecy i patrząc w sufit mówił dalej, jakby ona była w pokoju. — Teraz jest wieczór. — Zamknął oczy. — Ciebie już nie ma, ale on jeszcze jest.

Wstał, włożył płaszcz, kapełusz i wziął teczkę. Jego samochód stał zaparkowany na ulicy. Jezdnię pokrywał

# GLEN CANARY Dwaj BRACIA

śnieg, było sisko i musiał jechać wolniej. Wiatr ucichł i zrobiło się trochę cieplej. Paul zatrzymał się na jednej z ulic, wysiadł i zaczął spacerować. Obok przechodziła jakaś para. Zaczepił ich.

— O co chodzi? — spytał mężczyzna.

— Mam coś dla was.

— Czego pan chce?

— Dać wam upominek.

— Upominek?

— Tak — Paul wyjął paczkę banknotów.

— Nikt nie rozdaje pieniędzy za darmo — powiedział niezadowolony.

— Ja rozdaję.

— To chyba jakiś kawał prasowy. Ale ja i tak wezmę te pieniądze. Ile tu jest?

— Pięćset dolarów.

— A o co chodzi?

Sambig potrząsnął głową i odszedł do samochodu. Słyszał, że go wołają. Zapuścił motor i odjechał. W lusterku zobaczył, że stoją i liczą pieniądze. Skreślił w boczną ulicę i zatrzymał się przed pierwszym napotkanym barem. W barze był tłok. Pachniało wódką. Usiadł na stołku i zamówił whisky. — Sześćdziesiąt centów — powiedział barman nie wypuszczając z rąk kieliszka.

— Proszę sobie wziąć — Paul podsunął mu pod nos otwartą teczkę.

— Tyle pieniędzy! Może pan mieć kłopoty!

— Nie sądzę — odwrócił się do sali i krzyknął: —

Wszyscy piją na mój rachunek.

— Jak stawia, to pijemy. Ostatecznie to jego forsa — ucieszył się siedzący obok mężczyzna. Gwar zaczął narastać. Słychać było śmiech i głośną rozmowę. Do Paula podeszła jakaś kobieta.

— Co zrobisz z tą forszą, kochanie?

— Będę się bawił. Chcesz trochę?

— Oczywiście, ale ja nie jestem tania.

— Ja wiem, że nie.

— Dokąd chcesz iść? Ja mam miejsce — zaproponowała.

— Nie, ja nie chcę tak.

— Niech pan z nią nie idzie — powiedziała druga — ona nie jest tego warta, żeby z nią chodzić.

— Zamknij się — wrzasnęła pierwsza. Mężczyźni zaczęli się śmiać.

— Tylko się nie pobijcie — prosił barman.

— Słuchajcie — Paul zwrócił się do obu kobiet —

chciałbym coś zobaczyć za tysiąc dolarów. Każda dostanie pięćset, ale musicie się pobić.

— Nie zrobię tego.

— Za pięćset dolarów warto — powiedziała ruda i trzasnęła swoją koleżankę w twarz. Mężczyźni byli uradowani. Po chwili twarze kobiet zrobiły się czerwone. Nic nie było słychać oprócz uderzeń. Ruda była silniejsza. Jej przeciwniczka zaczęła płakać.

— Wystarczy — Sambig rzucił w tłum plik banknotów. Słuchający mężczyźni zaczęli je sobie wyrwać.

— To dla ciebie, Lidio — powiedział, stojąc w drzwiach.

— Ty też lubiłaś pieniądze. Zrobiłabyś to samo co te dziewczki.

Dotychczas do placu, skreślił w ulicę i zatrzymał się. Zaczął wymawiać banknoty i rwać z nich banderole. Potem zaczął je wyrzucać przez okno. Pomagał mu w tym wiatr. Samochody stanęły, a ludzie zaczęli łapać pieniądze. Jeden z mężczyzn podbiegł do niego z pełną garścią, by wrzucić je do samochodu.

Paul zaśmiał się i zasunął okno. Zapalił papierosa i czekał, aż przyjdzie policja. Po chwili podjechało dwóch.

— Serwis — uśmiechnął się Paul.

— Co się tu dzieje? — spytał policjant.

— Nic. Wyrzucam pieniądze.

— To wiemy. A po co?

— Nie wasza sprawa.

Kazali mu wysiąść, sprawdził, czy nie ma broni, obejrzel dowód, ale tego nazwisko nie zrobiło na nich żadnego wrażenia.

— Dlaczego pan wyrzuca swoje pieniądze?

— To nie są moje pieniądze.

— A czyje?

— Ukradłem je w „Home Loan Company”. Pracuję tam i ukradłem je dziś wieczorem.

— To chyba wariat — powiedział jeden z policjantów do drugiego.

Zabrali go na komisariat zamknęli w małym pokoju,

Zapalił papierosa i usiadł wygodnie na krześle. Po chwili wbiegł policjant.

— Czy pan jest bratem

Ralph Sambiga?

— Tak.

— Boże! — policjant wbiegł trzasnąwszy drzwiami. I znów się pojawił.

— Pański brat zaraz przyjedzie. Niech mi pan opowie jak było.

Paul ukrył tylko tę historię z dwiema dziewczkami. To była jego sprawa i Lidio. Zresztą nie miała wielkiego znaczenia dla policji.

— Dlaczego pan to zrobił?

— To nieważne.

— To może być okolicznością łagodzącą.

— Wiem już o wszystkim. Dlaczego to zrobiłeś?

— Widzę, że mój kochany braciśzek, wcale nie jest domyślny. Po prostu chodziło mi o pański autorytet, panie Burmistrzu. Przepraszam, ale nigdy nie wiem jak pana tytułować.

— Przystań się wygłupiać. To bardzo poważna sprawa.

— Właśnie dlatego to zrobiłem.

— Wiesz o tym, że za miesiąc są wybory.

— No właśnie. I nagle taka historia. Twoje szanse są minimalne.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Zgadnij. Zawsze byłeś

mi się to oplaca. A ty będziesz zniszczony.

— Dałem Jurasce 10 tys. dolarów.

— Ukradłem mu tylko 5. Nawet mniej.

— Nie szkodzi. Będzie milerzał.

— A co z zeznaniem, które podpisałem?

— Zniszczone.

— No, dobrze. Tym razem wygrałeś.

— Słuchaj, ona nie była tego warta. Już dawno powinniśmy porozmawiać jak dorodni ludzie.

— Mówiłeś mi o tym, ale pogadajmy.

— Ona i tak by od ciebie odeszła. Wydaje mi się, że



Foto: Jelena Latalova (Czechosłowacja)

— Nie potrzebuję żadnej pomocy.

— Nie wiem co z panem zrobić — policjant podał mu pióro i Paul podpisał zeznanie.

— Możecie mnie zatrzymać.

— Oczywiście. Sądzę, że brat się ucieszy.

— Możecie jeszcze zawołać dziennikarzy. Oni lubią takie rzeczy.

— A pański brat nie oміeszka nam tego wynagrodzić.

— Czego się pan boi? On jest zaledwie burmistrzem, a nie Bogiem.

— To prawda, ale nie zrobię tego.

— Dzwonił pan do Juraski?

— Tak. Przekonałem się, że pan nie kłamie.

Po półgodzinie przyjechał Ralph. Policjant chciał wejść razem z nim, ale Ralph wyprosił go za drzwi.

— sprytniejszy ode mnie — Paul zapalił papierosa.

— Zabrałeś mi Lidie.

— Nie namawiałem jej. Sama chciała od ciebie odejść.

— Obudziłeś w niej głód pieniędzy, zabrałeś mi ją, a potem zabiłeś.

— To był wypadek samochodowy.

— Wiedziałem, że z nią kombinujesz, ale mimo to chciałem ją zatrzymać przy sobie. Nienawidzę cię. Zawsze byłeś silniejszy i sprytniejszy ode mnie. Jej już nie ma, ale ty mi zostałeś i teraz twoja kolej. Spróbuj wytłumaczyć się swoim wyborcom. Wyśmieją cię i nie będą na ciebie głośować. No, jak?

— Idioto. Mogą cię wsadzić do więzienia.

— Właśnie o to mi chodzi. Ale przedtem będzie proces. Ile mogę dostać? Pięć lat, nie więcej, i tak

dla nas ta sprawa skończyła się raczej pomyślnie.

— Słyszałem jak jeden facet się tłumaczył, że kobieta, która przejechała, była chora i tak by długo nie żyła.

— Gdybym cię dziś nie uratował, poszedłbyś do więzienia.

— Siebie uratowałeś, a mnie znowu upokorzyłeś.

— Co robisz jutro? — spytał Ralph.

— Jutro? Mam zamiar okraść bank.

— Czyś ty zwariował?

— Możliwe. Jednak myśl ludzka to cudowna rzecz. Daje tyle różnych możliwości. Mam nadzieję, że z tego też mnie wyciągniesz.

— Roześmiał się. — Wiesz, co, Ralph, myślę, że powinienem raczej oszczędzać pieniądze. Przydadzą ci się, kiedy pójdziesz na emeryturę.

Przełożył: R. GORZELSKI

## Lewym okiem



Pamiętajcie o tym, dzieci...

Człowieka o wybujałym kompleksie wyższości poznaje się jak wiadomo po tym, że przechodząc pod drutami telegraficznymi — schyla głowę. Obawiam się jednak, że niedługo wszystkich nas, mieszkańców „drugiego co do wielkości miasta”, będzie można posadzić o taki kompleks: schylenie głowy musi się stać naszym stałym odruchem. Nie chodzi o żadną przemożność. Chodzi o markizy nad oknami wystawowymi naszych sklepów.

We wsi Koniakówka na Orawie pokazują turystom stare dworzyszczce, traktowane jak skansenowski eksponat, w którym do pokoju dziedziąca prowadzą drzwi nie wyższe nad jeden metr. Zeby wchodzić tu ze sprawa

kmieć musiał się nisko pokłonić, żeby poczuł z jakim małym głupstwem pcha się przed dostojne oblicze. Może taka sama idea przyświeca wysokim regionom handlu detalicznego? Zegnij się, jak chcesz popatrzeć na kubański likier za sto sześćdziesiąt złotych ćwiartka i na rodzimy czterojajeczny makaron...

Srednia wzrostu w następujących po nas pokoleniach podobno szybko rośnie. Więc chyba nie jest to wyłącznie moje zmartwienie, że idąc „Piotrkowską” w słoneczny dzień muszę ciągnąć unikać bronie swej zagrożonej głowy przed guzem?

Oczywiście, tacy faceci powinni chodzić jeźdźnią. Ale to jest dozwolone tylko w

sobotę po południu, a markizy wiszą — i to za nisko, i to niezbyt równo — przez cały tydzień, dniami i nocą, bo mechanizmy się zacinają, bo damski personel ma za mało krzepy, bo spółdzielnia „Czułość” czuwa nad mierniemi, ale nie obejmuje abonamentem podnoszenia i opuszczania markiz. Nie ma wyjąć!

Całe szczęście, że różne takie mikroskopijne dolegliwości są natychmiast rekompensowane cieszącymi ducha drobiazgami. Jakże przyjemnie poczuć się — mimo wysokiego wzrostu — małym bobasem, do którego przemawia łagodnie ciocia:

Pamiętajcie o tym dzieci: brak zieleni miasto szpeci.

Pamiętamy. Brak zieleni i wiele innych braków też. Pamiętamy i prosimy o ciągłe, uparte zmniejszanie tych braków. Więcej zieleni! To chyba o mobilizację opinii (zwłaszcza dziecięcej) chodziło autorowi foremnego wierszyka, publikowanego w miejscach, w których powinno być zielono?

W mieście fabryk i kominów zieleni chroni cię od dymu

Ładne. I rym jest, i sens, nie to co w nowoczesnej poezji, za którą dają złote czółenka. Zeby to jeszcze była prawda! Sam mam trawnik pod oknem i tuzin paprotek w żardinierce, a dymu od tego nie ubyło; lepiej więc chyba nie zdawać się na samoczynnie działającą zieleni

i próbować robić coś z tym dymem i pyłem. A trawa niech nie chroni, nie uzdrawia, nie rozwiązuje kompozycji przestrzenno-urbanistycznych, niech zwyczajnie rośnie i raduje oczy swym widokiem. Dobrze by ją było nie tylko obstarwić pretensjonalnymi rusztowaniami z kolorowych listewek, dźwigającymi krótkie a rymowane aforyzmy, lecz także od czasu do czasu podlać. Bierzcie się hydrant...

Ale to już inna historia. Tymczasem — skoro wysocy mężczyźni się nie liczą — prosimy podnieść markizy o dziesięć centymetrów powyżej najwyśmiejniejszej fryzury damskiej. Pamiętajcie o tym, dzieci: główka może się rozlecieć!... CWIEK